

Ryszard Ćwirlej

RĘCZNA ROBOTA



Ryszard Ćwirlej (ur. 1964) – pochodzi z Piły, mieszka na wsi niedaleko Poznania. Z wykształcenia malarz i socjolog, na co dzień zajmuje się dziennikarstwem telewizyjnym i gotowaniem obiadów dla całej rodziny. Tuż po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Śląskim rozpoczął pracę w ośrodku TVP w Katowicach, a później przeniósł się do poznańskiej TVP, w której jest wydawcą i reporterem programu „Telekurier”.

W 2007 roku zadebiutował powieścią kryminalną *Upiory spacerują nad Wartą*, osadzoną w realiach schyłkowego PRL-u. W 2008 roku ukazał się *Trzynasty dzień tygodnia*. *Ręcznie robota* jest trzecią powieścią autora, który pracuje już nad nowym tomem przygód milicjantów z Poznania.

MROCCNA
SERIA

RĘCZNA ROBOTA Ryszard Ćwirlej

Gianrico Carofiglio	Świadek mimo woli Z zamkniętymi oczami Ponad wszelką wątpliwość 21:37
Mariusz Czubaj Martha Grimes	Hotel Paradise Stacja Cold Flat Junction Hotel Belle Rouen Pod Huncwotem Pod Przechytrzonym Lisem Pod Anodynowym Naszyjnikiem
Arnaldur Indriðason	W bagnie Grobowa cisza
Jean-Claude Izzo	Total Cheops Szurmo Solea
Tomasz Konatkowski	Przystanek Śmierć Wilcza wyspa Nie ma takiego miasta
Marek Krajewski	Widma w mieście Breslau Festung Breslau Dżuma w Breslau Głowa Minotaura
Marek Krajewski, Mariusz Czubaj	Aleja samobójców Róże cmentarne
Jens Lapidus Henning Mankell	Szybki cash Morderca bez twarzy Psy z Rygi Biała lwica Mężczyzna, który się uśmiechał Fałszywy trop Pięta kobieta O krok Zapora Chińczyk
Aleksandra Marinina	Kolacja z zabójcą Gra na cudzym boisku Ukradziony sen Złowroga pętla Śmierć i trochę miłości Męskie gry Zabójca mimo woli Płotki giną pierwsze
Zygmunt Miłoszewski Denise Mina	Uwikłanie Pole krwi Martwa godzina
Heinrich Steinfest Joanna Szymczyk	Subtelny nos Lilli Steinbeck Ewa i złoty kot

Ryszard Ćwirlej

MRO CZNA
SERIA

RĘCZNA
ROBOTA

ydawnic
ab
two

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2010
Wydanie I
Warszawa 2010

Prolog

*Katowice, piątek, 20 września 1985 roku,
godzina 7.15*

Deszcz padał od świtu. Czerwony autobus linii 297 zwolnił trochę, przepuszczając nadjeżdżającego z przeciwka zielonego malucha, a potem przeciął oś jezdni i wjechał w niewielką uliczkę prowadzącą na nowe osiedle Ochocjec. Przednie koła autosana wjechały w wielką kałużę, pryskając brudną błotnistą wodą na chodnik.

- Jak jedziesz, ciulu! - warknął Alojz Piontek, grożąc kierowcy autobusu pięścią. Woda zalała mu buty i nogawki spodni. Szybko pościerał błoto, ale niewiele to dało, bo spodnie i tak zrobiły się mokre. Machnąwszy w końcu ręką, postanowił, że wejdzie do sklepu po drugiej stronie ulicy Waltera Jankego i siądzie sobie na parapecie, pod którym zainstalowane były grzejniki. Może jakoś się osuszą, pomyślał i szybko przeszedł przez jezdnię.

Sklep, zwany przez miejscowych trochę na wyrost „halą”, miał kształt wydłużonego pawilonu i był jednym z najważniejszych punktów na mapie osiedla. Powszechnie uważano, że jest najlepiej zaopatrzone w artykuły

spożywcze. To jednak dla Alojza nie było takie istotne. Kwestie dotyczące zakupów mięsa, wędlin czy warzyw nie interesowały go zupełnie. Pozostawiał je całkowicie swojej żonie. Interesował się halą, bo tam można było dostać piwo tyskie gronie, a niekiedy nawet trafiało się książęce. A on bardzo lubił piwo, szczególnie rano po przepiciu. Dziś wiedział, że musi się napić, bo po wczorajszym chlaniu suszyło go jak diabli.

Podszedł do drzwi hali. Otworzyły się przed nim pchnięte od środka i na ulicę wyszedł odziany w marną jesionkę Gerard Matusiak. Niski sześćdziesięcioletek, mierzący jakieś metr pięćdziesiąt, uśmiechnął się szeroko na widok Alojza:

- Alojz, pierunie, co słyhać?

Przywitali się, podając sobie ręce.

- Aleś sie umarasił. - Gerard spojrzal na brudne i przemoczone spodnie kolegi.

- To tyn ciul z autobusa! - odpowiedział Alojz, wskazując głową ulicę. - Musza sie napić, bo zech sie wkurwił.

- Niy dziwia sie - poparł go uśmiechnięty kolega. - Jeżdżóm te ciule i na nic niy patrzóm. Ale dej se ino pozór tukij - mówiąc to, szybko odpiął jesionkę.

Za paskiem miał zatkniętą butelkę wina owocowego. Alkohol sprzedawano od trzynastej, ale Gerard miał w hali chody. Jego znajoma sprzedawała na spożywczym i w razie pilnej potrzeby mógł liczyć na towar spod lady. Chciał najpierw kupić piwo, które można było sprzedawać od rana. Po przeliczeniu pieniędzy okazało się, że wystarczy mu na jabola, więc nie było się co zastanawiać.

- Czamu niy, może być i jablek, ale jo ta ino jeszcze wleza i kupia jake piwo, bo ta jedna flaszka to trocha mało -

powiedział Alojz i zniknął za sklepowymi drzwiami, pozostawiając Gerarda samego.

Po pięciu minutach był już z powrotem. W ręce trzymał siatkę wypełnioną kilkoma butelkami tyskiego tańcowanego. Tę torbę nosił zawsze w kieszeni kurtki na wszelki wypadek, gdyby musiał coś nagle kupić. Teraz przydała się do noszenia piwa.

- Wroź ino ta flaszka do tego nylonbojtla, bo ci jeszcze z galotów wyleci, a to by było szkoda.

Mężczyzna włożył ostrożnie butelkę do siatki, a potem obaj ruszyli chodnikiem. Nie musieli nawet umawiać się, gdzie mają pójść się napić. Jakieś pięćset metrów dalej w stronę centrum Katowic było miejsce, które już dawno upatrzyli sobie miejscowi pijacy: zarośnięty chaszczami rów położony kilka metrów poniżej poziomu ulicy. Wystarczyło zejść tam wydeptaną przez liczną rzeszę amatorów wina markowego ścieżką, by zagłębić się w miejsce niewidoczne dla postronnych obserwatorów. Można było tam się napić bez obawy, że jakiś milicjant zaczepi degustatorów taniego alkoholu.

Minęli wieżowce po lewej stronie i rozłożone tuż przy ulicy niewielkie targowisko. Ruch panował tu już od rana. Kolejka kilkudziesięciu kobiet ustawiła się przy kiosku, w którym sprzedawano kurczaki bez kartek. Druga, znacznie większa, stała pod mięsnym. Ale dwaj mężczyźni nie zwrócili najmniejszej uwagi na stojące kobiety. Przyspieszyli tylko, jakby bali się, że natrafią tu na jakąś znajomą czy sąsiadkę. Lepiej przecież nie pchać się w oczy tym starym omom, co mogą później człowieka niepotrzebnie obgadać. Zwrócili za to baczniejszą uwagę na drugą stronę ulicy. Tam, w starej dwupiętrowej kamienicy, mieścił się

bar piwny U Pluty. W tej chwili jeszcze był zamknięty, bo otwierano go dopiero o dziewiątej, ale na chodniku stała już niewielka grupka amatorów piwa. Nie czekali jednak na otwarcie Pluty. Tu organizowali rzutkę na pierwsze piwo, które zamierzali wypić pod halą; Pluta to było tylko miejsce zbiórki spragnionych z całej okolicy.

Alojz skinął głową stojącym mężczyznom i przyspieszył kroku. Znał ich, ale niezbyt poważał. Nie musiał się zadawać z tymi bryniolami. Należeli do najgorszej kategorii pijaczków, którzy nigdy nie śmierdzili groszem. Dwóch czy trzech było miejscowych, reszta to były zwykłe wulce z pobliskiego wulcoka, czyli hotelu robotniczego. Ci zarobione pieniądze przepijali natychmiast, a później, żeby się napić, musieli robić ściepę. Co innego oni. Alojz i Gerard mieli pieniądze. Co prawda niezbyt wielkie, ale zawsze. Byli emerytami górniczymi, dlatego mieli za co pić. Większość pieniędzy z górniczych emerytur oddawali żonom, ale resztę mieli na własne potrzeby, czyli codzienne piwo albo wino, a niekiedy na grę w skata.

Nie oglądając się już na tych spod Pluty, zeszli na dół rowu i zagłębili się w gęste, żółto-czerwone jesienne zarośla. Musieli przejść jakieś sto metrów w głąb niewielkiego lasku. Przed nimi rozciągała się mała polanka upstrzona setkami wdeptanych w ziemię metalowych kapsli i plastikowych korków od wina. Pod jednym z drzew stała drewniana ławka, którą parę lat temu ktoś przytargał z jakiegoś skweru dla wygody pijących.

Odetchnęli z ulgą, widząc, że ich ulubione miejsce jest puste. Byli tu dziś pierwsi, więc mogli spokojnie zająć ławeczkę. Rozsiedli się na wilgotnych deskach; olejna farba odchodziła z nich wielkimi płatami. Przynajmniej nie kapłało za kołnierz, bo któryś ze stałych użytkowników

tego miejsca rozciągnął na kilku gałęziach drzewa, tuż nad ławką, wielki płat folii. Alojz ustawił siatkę pośrodku ławki i wydobył z niej dwie butelki piwa. Sprawnie pościagał kapsle otwieraczem ze scyzoryka o dwunastu ostrzach, który zawsze nosił przy sobie. Podał piwo koledze, po czym obaj bez słowa pociągnęli po sporym łyku.

Nagle spojrzenie Gerarda zatrzymało się na jakimś dziwnym punkcie kilkanaście metrów od nich. Mężczyzna mało nie zakrzuszył się piwem. Szybko przełknął resztkę płynu i zerwał się na równe nogi.

- Pierunie, co żeś tak skoczył? - zdziwił się Alojz.

- Patrz sam ino! - krzyknął Gerard, wymachując ręką w stronę zarośli przed nimi.

Jego kolega spojrział we wskazanym kierunku.

Matusiak odstawił do połowy opróżnioną butelkę piwa na ławkę i ruszył biegiem przed siebie. Po dwóch sekundach był już na miejscu. Na ziemi spoczywało coś czarnego, co z daleka wyglądało jak wielki szmaciany toból.

- Jeruna! - zaklął pod nosem zza pleców Gerarda Alojz Piontek, który nadal trzymał w rękach butelkę tyskiego.

Tuż przed nimi leżał zwinięty w kłębek starszy siwy mężczyzna. Opuchnięty sinozielony język wystawał mu z ust, a zamglonymi, wybaluszonymi i przekrwionymi oczami zdawał się spoglądać na dwójkę pijaków z niemym wyrzutem.

Gerard przeżegnał się szybko, a potem uklęknął tuż obok leżącego i jednym ruchem zdarł z niego czarny kolejarski płaszcz, którym był przykryty.

Wtedy Alojz zaklął po raz drugi.

- Kurwa mać!... - krzyknął i poczuł, że cała krew odpływa mu z twarzy.

Początkowo nie zobaczyli nóg, bo były mocno podgięte do tyłu. Ktoś związał je plastikowym sznurem do bielizny, a drugi koniec zacisnął pętlą na szyi kolejarza. Sznur wrzynał się w krtań, niemal ją przecinając. Jednak nie to najbardziej przerażyło obu mężczyzn. Piontek zbladł, gdy spojrział na ręce, które ukazały się, gdy jego kolega ściągnął z trupa szynel. Obie, tak jak nogi, związane były w przegubach. Jednak poniżej sznura, tam, gdzie powinny bielić się dwie dłonie, była tylko jedna. Zamiast drugiej wyzierała krwawa masa.

- Urżli mu rynka! - powiedział Alojz Piontek i wypuścił z dłoni do połowy pełną butelkę piwa. Dotąd nigdy jeszcze mu się coś takiego nie zdarzyło. Spieniony płyn spokojnie wylewał się z flaszki i wsiąkał w ziemię. Ale ani Alojz, ani Gerard nie zwrócili na to najmniejszej uwagi.

Rozdział I

Sobota, 8 marca 1986 roku, godzina 5.13

Jednostajny stukot pociągu działał usypiająco. Większość pasażerów przedziału spała w najlepsze. Nic dziwnego, skoro wszyscy wracali z wyczerpującej podróży. Nie, żeby była to jakaś szczególnie daleka podróż, zgodnie z rozkładem jazdy trwała zaledwie osiem godzin. Pociągiem pospiesznym z Berlina do Poznania nie jechało się zbyt długo. Wyczerpujące były jednak przeżycia większości podróżnych. Bo sam powrót do Polski był już właściwie tylko etapem wypoczynkowym po męczącym pobycie w Berlinie.

Podróżni jadący z tego miasta dzielili się na trzy kategorie. Pierwszą stanowili Niemcy z RFN podróżujący do Polski. Ci byli elitą pociągu. Rozpoznać ich można było już na pierwszy rzut oka po markowych, eleganckich ubraniach niedostępnych dla przeciętnego Polaka. Podróżowali najczęściej pierwszą klasą z niewielkim bagażem, licząc, że w tym dzikim kraju będą mogli załatwić jakieś swoje interesy. Niektórzy z nich jechali tu po to, żeby trochę poszaleć, bo Polska stanowiła dla nich prawdziwe eldorado.

W hotelach i najlepszych restauracjach płacili twardą walu-
tą, a przelicznik cen był dla nich niezwykle korzystny.
Tu każdy niemiecki robotnik na urlopie mógł choć przez
chwilę poczuć się jak właściciel zakładów Kruppa.

Do drugiej należeli Polacy, którzy wracali do kraju
z RFN czy Berlina Zachodniego. Niewielu ich było, bo
władze niezbyt chętnie patrzyły na wyjazdy rodaków na
Zachód. Choć zdarzały się coraz częściej przypadki wy-
dawania paszportów ludziom chcącym wyjechać do kra-
jów „ustrojowo zacofanych”, które nie odrzuciły jeszcze
kapitalistycznego systemu wartości i nie zdecydowały się
wkroczyć na piękną drogę rozwoju socjalistycznego. Na-
turalnie musieli oni przedstawić w biurze paszportowym
jakiś ważny powód takiego wyjazdu i koniecznie popiera-
jące ten powód zaproszenie od prywatnej osoby mieszka-
jącej na Zachodzie. Zapraszający musiał się w takim za-
proszeniu zadeklarować, że pokryje na miejscu wszystkie
koszty utrzymania obywatela PRL-u. Oczywiście i władze
wydające paszport, i starający się o wyjazd wiedzieli, że
zaproszenie to fikcja. Od jakiegoś czasu bowiem zaprosze-
nia takie można było zdobyć za kilkanaście dolarów na
czarnym rynku. Szczęśliwiec, który kupił zaproszenie i na
tej podstawie wydano mu paszport, nie miał najmniejsze-
go zamiaru jechać do zapraszającego. Wyjeżdżający mieli
własne pomysły na pobyt za żelazną kurtyną. Najczęściej –
czysto handlowe. Polscy podróżnicy wyjeżdżali z kraju
zaopatrzeni w polską wódkę i papierosy z Peweksu. To-
war sprzedawali na niemieckich flohmarktach dwu-, trzy-
krotnie drożej. Do kraju najczęściej wracali z kupioną na
miejscu elektroniką – magnetowidami, magnetofonami
czy coraz popularniejszymi walkmanami. Na jednym
takim wyjeździe przy dobrze zainwestowanych pienią-

dzach miało się bez większych problemów dziesięciokrotne przebicie. Nic więc dziwnego, że wyjazdy do Niemiec Zachodnich były coraz popularniejsze.

Trzecią kategorię stanowili ci, którym poszczęściło się trochę mniej i mieli paszport tylko na kraje demokracji ludowej. Oni mogli najwyżej wykupić w Orbisie wycieczkę do Berlina Wschodniego. W stolicy NRD sprzedawało się dżinsy z Peweksu, przeciwsłoneczne okulary z prywatniarskich sklepów i ruskie wiertarki czy nawet szczyryki, którymi handlowali na miejskich targowiskach stacjonujący w Polsce radzieccy żołnierze. Do kraju opłacało się przywozić teflonowe garnki i czajniki, szybkowary, sokowniki i zupełnie niedostępne w kraju akcesoria pielęgnacyjne dla niemowląt.

Wszystkich jadących do Polski pasażerów pociągu relacji Berlin–Poznań, zwanego oficjalnie Beroliną, łączyło jedno: głośno manifestowana radość z przekroczenia granicy. O ile już na stacji Berlin Lichtenberg w pociągu powoli i raczej nieśmiało rozpoczynała się alkoholowa impreza, o tyle po przekroczeniu granicy polsko-niemieckiej pijacka euforia porywała niemal wszystkich pasażerów. Niektórzy pili z radości, bo udało im się przechytryć celników bezwzględnie rekwirujących kontrabandę, inni, ograbieni z części przewożonego towaru, zalewali gorycz porażki.

Bo na celników nie było mocnych. Hordy grabieżców w zielonych mundurach rzucały się na pociąg jak karaibscy piraci na statek przewożący złoto. Odbierali towar według własnego uznania, ale nigdy nie rekwirowali wszystkiego. Zadowalali się małą częścią wwożonego do Polski dobra, bo wiedzieli, że nie wolno strzyc owiec do gołej skóry. Wybierali więc tylko niektórych podróżnych do

szczegółowej kontroli, a pozostałych, tych, którym lepiej patrzyło z oczu, zostawiali w spokoju. W ten sposób większość wracających do kraju bez problemów przechodziła przez celniczą sieć.

Tak właśnie było z Karolem Wójcikiem, który z Berlina Zachodniego jechał w tym roku już po raz siódmy. Jakimś dziwnym i niewytłumaczalnym dla niego trafem w ambasadzie niemieckiej w Warszawie dano mu półroczną wizę pobytową. Wszystkim dawano na dwa miesiące, a on dostał na całe sześć. Nie znał niemieckiego, więc nie mógł wiedzieć, że zaproszenie, które kupił na Łazarzu, wystawił Wolny Uniwersytet w Berlinie dla studenta doktoranta archeologii śródziemnomorskiej w ramach bezpłatnych zajęć pogłębiających dotychczas zdobytą wiedzę. Wystarczyło tylko wpisać w odpowiednie miejsce imię i nazwisko doktoranta i już można było starać się o wyjazd. Na szczęście dla Karola funkcjonariusz SB, który przyznawał paszporty, też nie znał niemieckiego, dlatego nie dopatrzył się niczego dziwnego w tym, że malarz pokojowy Wójcik Karol, syn Mieczysława, będzie rozszerzał swoją wiedzę archeologiczną. Zresztą jego brak czujności socjalistycznej nie wynikał z niedbalstwa czy niedouczenia, ale spowodowany był szarą koperką ze stumarkowym banknotem, którą Wójcik dołączył do podania paszportowego. Urzędnikowi ambasady zaś było wszystko jedno, kto wyjedzie na takie zaproszenie, bo od pewnego czasu wszyscy urzędnicy w tej placówce wykonywali skrupulatnie polecenie rządu w Bonn, by nie robić trudności Polakom starającym się o wyjazd do Niemiec, bo prawdopodobnie większość z nich to prześladowani w PRL-u działacze podziemia. Skoro zaproszenie Wójcika mówiło o półrocznych studiach, skrupulatny

urzędnik wydał zgodnie z przepisami półroczną wizę pobytową.

Po raz kolejny Karol wracał do Poznania szczęśliwy, bo znów w torbie miał dwa tanie magnetowidy i cztery radiomagnetofony. I tym razem celników nie zainteresował jego bagaż. Zresztą cały jego przedział ominęła kontrola, dlatego zaraz w Kunowicach, gdy tylko celnicy wysiedli, a pociąg ruszył, on i pozostali handlowcy natychmiast wyciągnęli ze swoich toreb butelki z niemieckim piwem i łyskacze z aldika. Warto było poświęcić te parę butelek, bo było co opijać.

Pociąg szarpnął gwałtownie i zaraz potem zaczął zwalniać. Karol, kompletnie pijany, obudził się i zaczął rozglądać wokół siebie. Początkowo nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest. Ale po chwili, gdy wzrok przyzwyczał się do ciemności, zrozumiał, że siedzi w ciemnym przedziale pociągu. Wraz z współpasażerami w milej i sympatycznej atmosferze opróżnili parę butelek. Poczul suchość w ustach, ale na szczęście pamiętał, że w szparze między siedzeniem a ścianą wagonu powinien mieć ukrytą jeszcze jedną butelkę „Berliner Weisse”. Namacał obły kształt i zadowolony wyciągnął flaszkę piwa. Scyzorykiem ostrożnie zdjął kapsel, a później jednym pociągnięciem osuszył zawartość butelki.

Niemal natychmiast poczuł, że świat znowu zaczyna przyjemnie wirować, ale jednocześnie pęcherz nieopróżniany od samego Berlina niebezpiecznie zapulsował. Wójkik podniósł się gwałtownie i mamrocząc coś pod nosem, zaczął przepychać się w stronę drzwi, przelażąc przez wyciągnięte nogi śpiących mężczyzn i podrózne torby zalegające na podłodze, bo nie pomieściły się już na górnych półkach bagażowych. Po chwili był na oświetlonym

mdłym światłem korytarzu. Rozejrzył się wokół i stwierdził, że bliżej ma do ubikacji po lewej. Dzielilo go od niej sześć przedziałów i barykada z wielkich toreb wypełnionych deficytowym towarem, poustawianych piętrowo na całej trasie. Ruszył w tamtym kierunku, przedzierając się z wysiłkiem. Na szczęście na korytarzu nie było żywego ducha, nie musiał więc przepychać się dodatkowo między ludźmi. Pęcherz coraz bardziej dawał znać o sobie świdrującym bólem, ogarniającym całe podbrzusze. Wreszcie dotarł do przedniego pomostu. Musiał tylko jeszcze minąć kilkanaście pak ustawionych w wielką piramidę. Wtem drzwi łączące dwa wagony otworzyły się i z łącznika wyszli dwaj kolejarze. Karol mimo narastającego bólu przyłgął do ściany, by ustąpić obu facetom. Jednak po sekundzie zrozumiał, że zrobił błąd, bo oni wcale nie chcieli iść w głąb wagonu. Ten pierwszy, niższy i przysadzisty jak atleta, zdecydowanie ruszył w prawo i wszedł do toalety, po chwili i drugi zniknął w niewielkim pomieszczeniu, zamykając za sobą z trzaskiem drzwi.

– Kurwa mać – zaklął głośno Karol Wójcik i poczuł, że już nie musi się spieszyć. Prawa nogawka jego peweksowskich lewisów zrobiła się nieprzyjemnie mokra...

Godzina 12.15

Chorąży Teofil Olkiewicz z Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Poznaniu miał pilną robotę. No i właśnie dlatego był zły. Poza tym dziś była wolna sobota, a on musiał być w pracy. Siedział w swoim pokoju, który dzielił z dwoma innymi milicjantami, i pisał na potężnej maszynie marki Łucznik. A pisanie na maszynie nie szło

mu najlepiej. Co chwilę mylił się, uderzając nie w ten, co trzeba, klawisz, na dodatek dźwignie czcionek szczepiały się ze sobą i Olkiewicz, klnąc na czym świat stoi, musiał podnosić popielatą obudowę maszyny i rozczepiać zaklinowane czcionki. Po kilku takich operacjach palce miał całe poplamione tuszem, więc jego irytacja rosła z każdą chwilą i w tym momencie sięgała mniej więcej piątego piętra Okrągłaka. W biurze był sam, bo jego współpracownicy poszli już jakąś godzinę temu piętro wyżej do pań z kadr, które mimo wolnego dnia pojawiły się dziś na komendzie, gdyż rano było uroczyste spotkanie wszystkich pracowników z komendantem wojewódzkim z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet. Koledzy wcześniej kupili za składowe pieniądze kilka bukietów goździków na Rynku Jeżyckim i poszli je wręczyć paniom z okazji ich święta. Teofil też się dorzucił do kwiatków i chciał iść na górę, bo impreza w kadrach zapowiadała się całkiem sympatycznie. Kobiety jak co roku kupowały z tej okazji jakąś wódeczkę, by odwdziaczyć się swoim kolegom za życzenia. Tego dnia nawet starsi stopniem oficerowie wypijali zdrowie pięknych pań i nikt nie robił żadnej sprawy z tego okazjonalnego picia w firmie. Teofil zdecydowanie lubił wypić i dlatego teraz denerwował się podwójnie, że musi siedzieć nad maszyną, wystukiwać na klawiszach jakieś idiotyczne zeznanie drobnego oszusta i złodziejaszka Filipiaka Mariana, syna Tadeusza, który zajmował się okradaniem samotnych kobiet na terenie całego województwa. A musiał to zrobić sam, bo dzisiaj nie mógł pójść do pań z hali maszyn i prosić o przepisanie. Wiadomo było, że świętują już od rana i nie wypadało im dziś zawracać głowy pierdołami. Zresztą efekt pisania na maszynie w trakcie świętowania mógł być raczej mizerny. Więc był zły.

No a poza tym chciał się zwyczajnie napić, tymczasem wszyscy dookoła świętowali, a on siedział i stukał w klawisze i wcale mu to dobrze nie szło. Najchętniej rzuciłby to pisanie w cholere, ale jego szef, major Marcinkowski, umówił się z przejmującym tę sprawę prokuratorem z Wil dy i chciał akta, by wydać decyzję o zastosowaniu sankcji wobec zatrzymanego Filipiaka Mariana, syna Tadeusza, któremu właśnie kończyło się przepisowe 48 godzin do wyjaśnienia. Widać było, że Marcinkowskiemu też głupio zawracać głowę prokuratorowi Witkowskiemu w święto kobiet, ale co było robić. Teofil, który nadzorował to śledztwo z ramienia wojewódzkiej komendy, wiedział, że musi to napisać i nie ma na to rady.

Przerwał na chwilę i sięgnął do szafki swojego biurka. Stała tam od wczoraj mocno już nadwężona butelka wódki bałtyckiej. Wyciągnął ją, spojrział najpierw na naklejkę przedstawiającą okręt unoszący się na niebieskich bałtyckich falach, a zaraz potem na szkło pod światło. Wydał wargi z dezaprobatą, stwierdziwszy, że płynu zostało na jakieś dwa palce. Nie może się przecież ta resztko zmarnować, pomyślał Olkiewicz i szybko dopił wódkę wprost z butelki. Wstawił ją na powrót do szafki i wyciągnął z kieszeni paczkę ekstra mocnych bez filtra. Te papierosy lubił najbardziej. Choć śmierdziały niemilosiernie, były jednak według chorążego zdecydowanie najlepsze spośród dostępnych w kioskach Ruchu wyrobów tytoniowych. Od niedawna w sprzedaży zaczęły się pojawiać jakieś nowe papierosy z importu, ruskie kosmosy czy jugosłowiańskie DS-y. Ale Teofil nie lubił tych obcych produktów. Wolał swoje paskudztwo, chociaż śmierdziało jak tłący się stary siennik. Bo ekstra mocne palił już od ponad dziesięciu lat.

Mimo że ponad rok temu zniesiono kartki na papierosy, to i tak ze zdobyciem tych najbardziej popularnych były spore kłopoty. Olkiewicz kombinował, jak mógł, i załatwiał fajki w kilku kioskach jednocześnie. Dzięki swym rozległym znajomościom udawało mu się zawsze wycygać od znajomych kioskarek po kilka paczek spod lady.

Z wewnętrznej kieszeni marynarki wydobyl srebrny pistolecik, popatrzył na niego z radością, a później pociągnął za spust. Z lufy buchnął długi na kilka centymetrów język ognia, którym przypalił papierosa.

Olkiewicz był bardzo dumny ze swojej nowej zapalniczki. Od kilku dni, to jest od momentu, kiedy kupił ją na gemeli na Łazarzu, nieustannie wykorzystywał każdą okazję, by przypalić komuś papierosa. Zapalniczka, którą wyprodukowano w ZSRR, na pierwszy rzut oka wyglądała jak prawdziwy pistolet. Nic więc dziwnego, że udało mu się przestraszyć nią kilka osób. Mirek Brodziak, jego kolega z wydziału, tak się zdenerwował po tym, jak Teofil wycelował w niego pistolet, że chciał mu nawet zabrać tę zabawkę i wyrzucić przez okno. Olkiewicz uratował drogo-cenny sprzęt i obraził się na porucznika do tego stopnia, że ten przez godzinę musiał namawiać chorążego, by wypili po małym na zgodę.

Schowal zapalniczkę do kieszeni i wrócił do pisania. W tym momencie zadzwonił telefon na biurku obok. Teofil zaklął pod nosem, zły, że ktoś śmie mu przeszkadzać, ale że był obowiązkowy, poderwał się z krzesła i podszedł do aparatu.

- No, Olkiewicz, co tam? - warknął nieprzyjemnie. - Nie ma nikogo, sam tu jestem, bo Dzień Kobiet jest, nie? Zna-czy się święto - tłumaczył cierpliwie natrętowi. - A ma-jora Marcinkowskiego nie ma i dzisiaj już go nie będzie,

bo jedzie do prokuratury. A właściwie to kto mówi, co? Sierżant Mleczak? Aha. Skąd? Z Opalenicy. A wy tam, Mleczak, to nie obchodziecie Międzynarodowego Dnia Kobiet? No dobra, jak kapitan przyjdzie, to mu powiem, ale pewnie i tak nawet dziś nie zadzwoni.

Olkiewicz odłożył słuchawkę i zły jak diabli wrócił do pisania. Co to za wiara, myślał, że też im się chce w taki dzień gitarę zawracać człowiekowi. No i co z tego, że znaleźli tam jakąś rękę. Jak znaleźli, to niech szukają dalej, aż znajdą resztę, i wtedy się zobaczy, co z tego wyjdzie. A tak znaleźli coś te szusfole z zadupia, nie wiedzą, co z tym zrobić i zaraz telefon do wojewódzkiej, nie?

Zdenerwowany, stuknął mocniej w klawisz maszyny i wysłużona czarna taśma pękła. No, tego było mu już za wiele. Trzasnął ręką w blat stołu i zerwał się z krzesła. Nie może być tak, żeby oni tam pili, a ja tu zapierniczał z tą gównianą maszyną, powiedział do siebie.

Wyciągnął z szuflady grzebień, poprawił szybko zaczeskę, którą przykrywał łysiejące czoło. Pięćdziesięcioletni chorąży Olkiewicz wstydził się swojej łysiny, toteż włosy z tyłu układał starannie na czole tak, by wydawało się, że ma bujną czuprynę. Wstał z krzesła i nałożył marynarkę. Z przyzwyczajenia zapiął ją na dolne guziki, ale zaraz rozpiął. Już jakiś czas temu zauważył, że szyty na miarę jeszcze w siedemdziesiątym roku garnitur skurczył się nieco i niezbyt dobrze się prezentował na jego pokaznym brzuchu. Wolał więc chodzić w rozpiętej marynarce, by nie dawać nikomu powodów do niepotrzebnych uwag na temat swojej tuszy.

Wszystko przez porucznika Brodziaka. Olkiewicz sam pewnie nie zwróciłby na to uwagi, bo nie dbał o takie drobiazgi jak dopasowana marynarka. Najważniejsze, by

w ramionach było wszystko w porządku, a materiał nieprzetarty i niezniszczony. Tych kilku malutkich dziurek wypalonych żarem z papierosów prawie wcale nie było widać.

Brodziak zobaczył go kiedyś, jak dopina guziki na brzuchu, i powiedział mu, że tak opięty wygląda jak worek pyłów obwiązany sznurkiem. Teofil burknął coś pod nosem i rozpiął guziki. Od tego czasu nosił marynarkę już zawsze rozpiętą.

Jeszcze raz przyglądał włosy, spojrzął w dół na czarne trzewiki z sortów mundurowych i wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami. Poszedł na górę do kadrowych sprawdzić, czy jeszcze zostało coś z imprezy.

Opalenica, godzina 12.20

Sierżant Włodzimierz Mleczak z Komendy Miejskiej w Opalenicy jak każdy normalny mężczyzna obchodził babskie święto. Kupił nawet dla swojej żony bukiet złożony z trzech czerwonych goździków z asparagusem, przewiązany czerwoną wstążką. Wstał o szóstej rano, żeby zdążyć jeszcze przed pójściem na dyżur i przed kolejkami do kwaciarni. Jako funkcjonariusz na służbie mógł oczywiście podejść do lady i zażądać sprzedaży przed innymi, ale było mu trochę głupio, bo przecież w tej niewielkiej Opalenicy znali go wszyscy, więc zaraz po ludziach by poszło, że nadużywa władzy do kupowania w sklepach. I dlatego wołał wstać trochę wcześniej, żeby ludzie nie mieli o czym gadać.

Mleczak chciał wręczyć swój bukiet zaraz po pracy. Rano po przyjściu na komendę wziął stojącą butelkę

po mleku za szafą w kącie pokoju, nalał do niej wody i wcisnął do środka goździki. Teraz spojrzął na kwiatki stojące na oknie i pomyślał, że nie ma pojęcia, kiedy zanieśie je swojej żonie. Co gorsza, nie wiedział również, kiedy będzie mógł wznieść toast za zdrowie małżonki, bo w PSS tuż koło kwaciarni kupił jeszcze dodatkowo butelkę żytniej eksportowej, którą odłożyła mu znajoma, pani Krystynka. Butelka leżała teraz na dnie jego brązowej skórzanej torby stojącej tuż przy biurku i czekała na swoją chwilę. Mleczak, zły jak diabli, pomyślał nawet, że ta sympatyczna butelka może się wcale nie doczekać. Wszystko przez tego Maślankę Zdzisława, tego pierdolonego Maślankę, przeklinał w myślach milicjant, co przylazł dwie godziny temu na komendę i powiedział, że znalazł coś dziwnego.

Maślanka był kolejjarzem. Pracował na stacji w Opalenicy i zajmował się naprawami sprzętu elektrycznego. Przyszedł na posterunek milicji, a właściwie przybiegł zziębnięty i ledwo mógł z siebie głos wydobyć. Mleczak nalał mu więc wody sodowej z syfonu, który trzymał na biurku, nie byle jakiego syfonu, bo nie szklanego napełnianego w punkcie napełniania syfonów, ale zupełnie nowiuśkiego, na naboje gazowe, lśniącego srebrno-czerwoną barwą, przywiezionego z wycieczki do Czechosłowacji. Podał mu szklankę bąbelkowanej wody i kazał wypić, a potem uspokoić się i opowiadać wszystko po kolei jak na spowiedzi, żeby dwa razy czasu nie tracić. Maślanka wypił jednym haustem, zapalił popularnego i zaczął opowiadać, jak mu Mleczak nakazał, czyli bez nawijania makaronu na uszy.

- No to jak, jak przed południem wjechał tyn osobowy z Nowygo Tomyśla - mówił kolejjarz - to byłem już po paru głybszych i nie brołem się za elektrykę, w zgodzie z przepisami, żeby po alkoholu nie dotykać urządzeń elek-

trycznych, żeby mnie czasem nie pierdollo. Łaziłem tylko dla niepoznaki ze swoją montera torbą koło transformatora. Takem se łąził i czekał, aż przyndzie okazjo zniknąć majstrowi Jarzębiakowi z pola widzenia. Myślałem, żeby skoczyć jeszcze roz do kanciapy, gdzie siedziola wiara od konserwacji torowiska, bo oni tam, panie władzo, wznosili toasty za zdrowie pań, jak to przy święcie się należy. Majster jak mnie w końcu przyuważył, to powiada, że idzie pogodać z dyżurnym, to ja zaraz pobiegłem przez tory w stronę magazynu, gdzie był tyn ich pokój socjalny. Poleciołem, ale nie doleciołem. Jakem przeskakiwoł przez torowisko, to zoboczyłem coś jasnego, co leżało na drewnianym podkładzie. No tom podszedł tam, co by sprawdzić, co to leży, bo wiadomo, że z pociągów wypadają różne rzeczy. Roz nawet mój kumpel Zdzichu Deptała znalazł całą reklamówkę, co komuś wylecioła. Na szczęście nie było w niej żodnych flepów, to i nie wiadomo było, komu oddać. A jak nie stoi napisane, czyje to, to tak jakby niczyje było. W ogóle ten Deptała powiedział, że i tak by nie oddoł, bo po cholere. Jak ktoś wyrzucił, znaczy się nie potrzebował! Tym bardziej że w środku nie było nic bardzo cennego, ino parę kartonów ćmików, marlboro i jakichś ciuchów. A kto by marlborasy oddawał.

- Nie pierdolicie mi tu, Maślanka, o jakichś ćmikach. Do rzeczy się zwracać - zdenerwował się Mleczak.

Maślanka wypił jeszcze łyk wody ze szklanki.

- No to, panie sierżancie, melduję, że jak podeszłem do tygo, co tam leżało, tom pomyślał, że może mam dziś farta i komuś z pociągu berlińskiego portfel wywiało. Ale jak podeszłem bliży, to już wiedziołem, że to żadyn portfel, ino że zwyczajno rynkawiczka. Nawet chciołem już oną zostawić, ale coś mie tknyło i jednak pochylułem się

nad nią. No i poruta, panie sierżancie – machnął ręką Maślanka.

– To nie rękawiczka?

– Łe, jako tam rynkawiczka, choć ze skóry i z palcami... Rynka od człowieka i jeszcze od krwi uślomprano. Musiała komuś z bany wylecieć.

Mleczak spojrział na kolejarza z niedowierzaniem:

– Co ty pierdolisz, Maślanka, jak ręka mogła komuś wypaść z pociągu?

– No i ja tak samo se pomyślałem, panie sierżancie. Ino że jak onemu odpadło, to może by się dało i ją przyszyć, no to ja, ja wziełem, a wy już tam swoimi telefonami sprowadzicie, czy to z tygo sznylcuga z Berlina, co jechał, czy z Poznania. Bo tyn, co mu te grabę urwało, to musiał w tym pociągu zostać się bez onej. No to będzie wiadomo czyja... Może teraz szuko jej gdzieś tam czy jak, bo ja wiem... – Przerwał trochę zmieszany i spojrział na sierżanta.

– Jak wzięłeś? – zapytał z niedowierzaniem Mleczak. – Zabrałeś ją z torów?

– No normalnie. A co miałem zostawić, żeby jakiś kejter zeżarł? Tak się nie godzi i nie po chrześcijańsku...

Spojrział na milicjanta, którego twarz zrobiła się jakaś niewyraźna, a potem wziął na kolana swoją monterańską torbę, otworzył pokrywę i wydobyl z wnętrza niewielki pakunek owinięty w „Głos Wielkopolski”. Położył go na biurku przed Mleczakiem. Spod rdzawobrunatnych plam wylaniał się portret promiennie uśmiechniętej kobiety trzymającej wielki bukiet kwiatów, opatrzony tytułem „Kwiatek dla Ewy”.

Milicjant bez słowa nachylił się nad zawiniątkiem i ostrożnie za pomocą długopisu zenith odwinął skrawek papieru. Popatrzył na posiniałe palce, zakrwawiony prze-

gub, za którym nie było ramienia, później na kolejarza Maślankę, a potem na kwiaty w butelce po mleku.

- No to Dzień Kobiet poszedł się pieprzyć - mruknął pod nosem sierżant.

- Że o co się rozchodzi? - zapytał Maślanka.

- Że cię diabli nadali.

- Aha - zrozumiał natychmiast kolejarz. - To ja już może pójdę se precz? - zapytał niepewnie, spoglądając na milicjanta.

- Siedź tu, Maślanka, do cholery, bo ja teraz zadzwonić muszę do zwierzchności jakiejś. A później pójdziemy na miejsce zdarzenia, znaczy się tego znalezienia, w celu poszukiwania kolejnych części... No i ten jeszcze protokół spisać trzeba.

- Ja już tam wszystko przepatrzyłem i gówno tam jest przy tych torach, panie sierżancie. Wszystko przepatrzone. A tak po prawdzie, to do domu się spieszę. Musze, staryj, jakieś wino markowe kupić i z sąsiadem Stachowiakiem mieli my wypić za zdrowie dam...

- O domu to ty na razie zapomnij, Maślanka. Nie trzeba było się szwendać i rąk ludzkich znajdować - podsumował sierżant Mleczak i sięgnął po słuchawkę telefonu. Zdecydował, że czas kogoś ważniejszego obarczyć tym „ręcznym” problemem.

Poznań, godzina 12.35

To Marzenka Konopka poszła wtedy na drugą stronę do spożywczaka, bo jej powiedzieli na dyżurce, że mają tam dziś rzucić kawę z okazji Dnia Kobiet. No i ustawiła się w kolejce, bo ogonek już wychodził przed sklep, a to zna-

czy, że coś będzie. No i jak była już w połowie, to kierowniczka zarządziła, że kawy jest tak mało, że teraz sprzedają tylko po jednej paczce, a nie po dwie, jak na początku. To te, co były z przodu, zaczęły się wydzierać, że co ich to obchodzi, że ma być tak, jak było na początku. A te z tyłu zaczęły też się drzeć, że mają dawać po jednej, bo one nie po to stoją, żeby nic nie dostać. No i zaczęła się robić gemela taka, że kierowniczka powiedziała, że w ogóle nie będzie sprzedawać. I nic jej nie zrobią i co najwyżej mogą ją z rozbiegu w dupę pocałować. Baby jeszcze powstały trochę, podarły się, ale na szczęście nawinął się dzielnicowy Władziu Milczyński i powiedział, że koniec sprzedaży, skoro kierownictwo sklepu tak mówi, i rozejść się należy, bo jak nie, to potraktuje wszystkie jak nielegalne zbiegowisko i po kolei, każdą z osobna, spisze. No i baby poszły, i Marzenka też chciała iść, ale Władziu na szczęście ją przywazażył i zawołał do środka do sklepu. Powiedział kierownicze, że ta pani jest z kadr z komendy i że jej trzeba sprzedać, co sobie życzy. I kierowniczka w podziękowanie za przywrócenie porządku i praworządności dała jej pięć paczek orientów i Władziowi także samo, i jeszcze obydwójgu po butelce sangrii.

- Ja bynajmniej tego ulepku tobym do ust nie wziął, bo to takie kobiece wino, ale kawę to i owszem - powiedział Olkiewicz, który przed chwilą stanął w drzwiach do pokoju kadrowego. Powiedział o kawie, ale uśmiechnął się przy tym szeroko, a ręką dotknął szyi, dając obecnym do zrozumienia, że kawa może jeszcze trochę poczekać.

Pani Irenka Truszkowska, kadrowa, która opowiadała historię zdobycia kawy i wina, spojrziała z uśmiechem na chorążego:

- A co pan, panie Teofilu, tak późno do nas przychodzi? Już myślałam, że pan o nas zapomniał.

- Ale bynajmniej, pani Irenko - usprawiedliwił się Olkiewicz. - Ale musiał jeszcze jakieś papiery uzupełnić, bo pilne są.

Podszedł do wielkiej kadrowej, która musiała ważyć przynajmniej sto kilo. Jej głowę przyodzabiała dziś z okazji święta trwała ondulacja, przypominająca snopek siana. Teofil pochylił się i z gracją złożył pocałunek na ozdobionej złotymi pierścionkami pulchnej dłoni.

- I wszystkim tu obecnym paniom winszuję w związku z ich świętem. A kwiatki to już koledzy przynieśli. Nadmienię, że również ode mnie - powiedział, poprawiając zsuwającą się zaczeskę.

Spojrzał na rudowłosego porucznika Brodziaka i ogromnego, zwalistego kierowcę sierżanta Grzecha Kowala, którzy rozsiedli się wygodnie na krzesłach przed biurkiem pani Oli. Pani Ola pracowała w kadrach od niedawna. Jednak już zdążyła złamać kilka milicyjnych serc. Szczupła dwudziestoletnia blondynka, z pełnymi ustami zawsze wymalowanymi jaskrawoczerwoną szminką, w mocno opiętych na obfitym biuście sweterkach z importu, robiła na wielu mężczyznach duże wrażenie. Na Olkiewiczu zrobiłaby na pewno, jeśli pod tą bluzką zamiast kształtnych piersi znajdowałyby się dwie pełne półlitrowki. Popatrzył na nią, uśmiechnął się krzywo, a potem znów promiennie do pani Irenki. Jego instynkt starego pijaka podpowiadał mu nieomylnie, kto tu szafuje alkoholem.

- Pan siada se, panie Teofilu. Kawka zaraz się zrobi i pączki też będą, ale najpierw karniaczka dla spóźnialskiego.

Wskazała mu puste krzesło obok swojego biurka i szybko podreptała w stronę niewielkiej szafki, na której były szklanki, kilka butelek oraz talerz z pączkami.

W pokoju stało sześć biurk. Dwie ściany – ta na wprost okien, w której były drzwi wejściowe, i również ta z prawej strony – zabudowane były pod sam sufit szafami i półkami. Stały na nich segregatory z dokumentami, jednak nie były to akta personalne. Zawierały dokumentację bieżącą, gromadzoną tu nie wiadomo po co od wielu lat. Natomiast teczki z danymi wszystkich pracowników komendy przechowywano w specjalnym pomieszczeniu, zamkniętym solidnymi metalowymi drzwiami. Dostęp do niego mieli tylko funkcjonariusze upoważnieni przez samego komendanta i oczywiście najważniejsza osoba, która wiedziała wszystko o wszystkich, bo sama te teczki układała i kompletowała, czyli pani Irenka. Wśród nich była takżeteczka personalna chorążego Teofila Olkiewicza, w której zapisano skrupulatnie cały przebieg jego służby w organach.

Teofil do MO trafił w połowie lat pięćdziesiątych. Na początku był zwykłym stójkowym, do którego obowiązków należały patrole i dyżury na komisariacie Poznań Nowe Miasto. Patrołował więc centrum miasta, Starówkę i Chwaliszewo, dzielnicę o niezbyt dobrej reputacji, w której on sam się urodził i wychował. Przełożeni szybko docenili fakt, że Olkiewicz zna w tej części Poznania każdy dom, podwórko i co ważniejsze, każdego człowieka. Po kursach podoficerskich w szkole milicyjnej w Pile dostał trzy kaprałskie belki i awans na dzielnicowego. Wtedy dla Teofila zaczął się złoty okres. Doskonale obyty z miejscowymi zwyczajami, a co najważniejsze świadomy tego, kto jest kim na Chwaliszewie, szybko zorganizował sobie

grupę informatorów, którzy donosili mu o każdym istotnym wydarzeniu w miejscowym półświatku. Meliniarze, drobni złodzieje i panny lekkich obyczajów, wszyscy miejscowi, żyjący z lewych interesów, musieli odpalać co miesiąc dzielnicowemu Olkiewiczowi działkę ze swoich dochodów. W zamian gwarantował im nietykalność i ochronę.

Ta idylla trwała jednak do chwili, gdy na działania Olkiewicza zwrócili uwagę koledzy z SB, którzy złożyli mu propozycję nie do odrzucenia. Zaproponowano mu przejście do bezpieki i Teofil musiał się zgodzić. Wkrótce jednak okazało się, że o ile Olkiewicz doskonale radził sobie jako dzielnicowy, o tyle do pracy politycznej nie nadawał się zupełnie. Jego raporty opowiadały tylko o nastrojach, ale nie zawierały żadnych konkretnych informacji. Po kilku latach jako niezbyt efektywnego pracownika przeniesiono go do pracy biurowej. Wydawało się już, że za biurkiem doczeka emerytury. Na szczęście dla niego przyszedł stan wojenny. Trzynastego grudnia został, jako najmniej przydatny funkcjonariusz, odkomenderowany przez swojego szefa do wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej. Miał być łącznikiem między sekcją kryminalną a bezpieczeństwem, z zadaniem pomagania kolegom kryminalnym w kwestiach związanych z bezpieczeństwem wewnętrznym. Teofil nie miał zielonego pojęcia, co to znaczy, ale chętnie się zgodził, bo dotarło do niego, że znów będzie mógł wrócić na ulice. W grudniowym rozgardiaszu szybko udało mu się załatwić stałe przeniesienie i odtąd choraży Teofil Olkiewicz znów był w swoim żywiole.

Szefowa działu kadr miała największe, zawałone ogromną stertą papierów biurko. Olkiewicz usiadł przy nim, oparłszy

się jedną ręką o blat, na którym leżały zafoliowane paczki rajstop, jakie panie tradycyjnie już dostawały prócz kwiatów w prezencie od komendanta z okazji ich święta. Pani Irenka natychmiast podeszła do niego i podała mu literatkę pełną przeźroczystego, bezbarwnego płynu. Mężczyzna spojrzał z wdzięcznością na ogromną „kelnerkę”, a potem opróżnił zawartość szklaneczki jednym łykiem.

- Dziewczeta, nalejcie panu Mirkowi i Grzesiowi – zaszczebiotała szefowa i ciężko opadła na swój fotel po drugiej stronie biurka.

- A majora Marcinkowskiego tu nie było jeszcze dzisiaj? – zapytał Teofil, rozglądając się niepewnie po pokoju, jakby bał się, że jego szef nagle wyskoczy zza jakiegoś biurka. Mimo że Marcinkowski był od Olkiewicza znacznie młodszy – miał dwadzieścia lat mniej od pięćdziesięcioletniego Olkiewicza – Teofil czuł wyraźny respekt przed szefem. Już dawno przeszli na ty i razem wypili niejedną butelkę, mimo to chorąży czuł, że dzieli ich wyraźny dystans, spowodowany przede wszystkim dużą różnicą szarż, a także jakimś dziwnym, niewytłumaczalnym strachem, który budził się gdzieś wewnątrz Teofilowej głowy w momencie, gdy na horyzoncie pojawiał się Marcinkowski.

- No właśnie, Teoś – powiedział nieco bełkotliwie porucznik Brodziak, po którym już widać było, że alkohol powoli zaczynał przejmować kontrolę nad jego szarymi komórkami. – Miałem ci powiedzieć, ale jakoś tak zeszło... – uśmiechnął się, patrząc na panią Olę, która zatrzepotała zalotnie poczerwionymi rzęsami. – Miałem ci powiedzieć, że Fred Marcinkowski wpadł tu jakąś chwilę temu i powiedział, żeby ci przekazać, że to, co tam piszesz, to może poczekać do jutra, bo prokurator zadzwonił mu, że wy-

stawi sankcję bez akt, a teczkę z tymi flepami trzeba mu zawieźć rano.

- W końcu prokurator też człowiek i musi się napić w Dzień Kobiet, a nie zajmować się pierdołami - wyjaśnił plutonowy Kowal, wlewając w siebie resztkę sangrii ze szklanki. Nie pił wódki, bo, jak wyjaśnił zaraz po przekroczeniu progu pokoju kadrowego, jako kierowca musi się oszczędzać, nigdy nic nie wiadomo.

- He, he, he - zaśmiał się chorąży Olkiewicz i z uciechy aż klepnął się w udo, bo kamień spadł mu z serca. - Zna czy się, pani Irenko, że w tym wypadku mogę na drugą nogę przyjąć.

Powiedziawszy to, wysunął w kierunku kadrowej rękę z opróżnioną literatką.

Godzina 13.48

Na bocznicę Dworca Głównego w Poznaniu stało kilkanaście brudnych i odrapanych wagonów osobowych. Z prawej strony tuż za nimi ciągnął się w nieskończoność betonowy płot Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego. Zza płotu wyłaniały się ponure, pełne liszajów i zacieków szaropopielate mury hal naprawczych, spoglądające na pociągi pustymi oczodołami okien bez szyb. Na szczycie jednego z budynków widać było hasło namalowane jeszcze za czasów gierkowskich białą farbą, a teraz już mocno przybrudzoną, a mimo to mocno kontrastującą z szarością podłoża: „Jutro socjalistycznej ojczyzny budujemy dziś”. Na torze najbliższej ZNTK stały dwa żółto-niebieskie składy elektryczne. Oba pociągi wróciły z trasy wcześniej rano, a wyruszały w drogę powrotną dopiero

po południu. Były to typowo robociarskie pociągi, które obsługiwały trasy podmiejskie, rozwożąc ludzi wracających z pracy w Poznaniu. W wolną sobotę zamieniały się w pociągi handlowe – do Poznania przyjeżdżali nimi ludzie, którzy liczyli, że uda im się w poznańskich sklepach upolować coś ciekawego, czego próżno by szukać w ich miejscowościach. Panowało powszechne przekonanie, że stolica województwa musi być lepiej zaopatrzona niż prowincja. Trochę w tym prawdy było, ale nie do końca. WPHW czy PSS rozwożyły towary po swoich sklepach zgodnie z zaplanowanym wcześniej rozdzielnikiem, i tak na przykład do Szamotuł trafiały garnitury, do Murowanej Gośliny półbuty męskie, a do Opalenicy krawaty, z kolei do dużego odzieżowego w poznańskiej Alfie wszystkie te rzeczy naraz. Stąd przekonanie, że w Poznaniu można się zaopatrzyć we wszystko. Szczególnie zaś, gdy w świąteczne dni, takie jak ósmy marca, rzucano towar, by uczcić święto czymś niecodziennym. Dlatego jeśli ktoś dziś trafił do Alfy czy Okrągłaka, mógł wrócić do domu z kozakami damskimi albo bułgarskimi torebkami z imitacji skóry czy nawet z džinsami z Odry.

Dwa puste pociągi czekały teraz na zakupowiczów, którzy po południu mieli wrócić z łupami do swoich domów. Sprzątanie w wagonach polegało tylko na wybraniu śmieci z aluminiowych śmietniczek i ewentualnym zabraniu rzeczy pozostawionych przez zapominalskich. Robiła to poranna grupa sprzątaczek. Teraz ścieżką między dwoma pociągami, w stronę międzynarodowego składu, który wieczorem miał wyruszyć z Poznania do Berlina, szły cztery kobiety. To był porządny pociąg, którym prócz naszych podróżowali też goście z zagranicy. Dlatego sprzątanie w nim to była poważna praca. Trzeba było odkurzyć

wszystkie przedziały łącznie z kanapami, przetrzeć okna, a nawet wyczyścić ubikacje.

Roboty dużo, a satysfakcji mało, jak mówiła Krystyna Wróbel, brygadzistka zespołu sprzątaczek. Ale ktoś to w końcu musiał robić, by ci z zagranicy widzieli, że u nas też wysoka kultura jest, wyjaśniała swoim podwładnym.

Satysfakcja rzeczywiście była mizerna, bo w międzynarodowym sprzątało się dopiero przed odjazdem, nie zaraz po przyjeździe. A po przyjeździe właśnie można było liczyć na najciekawsze znaleziska. Ludzie zostawiali niedopalone paczki zagranicznych papierosów, jakieś piwa w puszkach czy niedopite butelki z mocniejszym alkoholem. Ale niestety, ten kolorowy świat był niedostępny dla sprzątaczek. Porządki zaraz po przyjeździe na stację robiła załoga pociągu i za nic w świecie ci pazerni faceci nie chcieli pozwolić, by wyręczyły ich uczynne kobiety.

Jednak nie można powiedzieć, by potem niczego z takich składów nie dawało się już wynieść. Pozostawały przecież śmietniki w przedziałach, które kolejarze przeglądali tylko pobieżnie. Natomiast sprzątaczkę musiały każdy śmietnik opróżnić. Dlatego zawsze coś tam dało się znaleźć. Najważniejszym trofeum bywały kolorowe foliowe torby z nadrukowanymi reklamami. Takie torby zagraniczni traktowali nie wiedząc czemu jak zwyczajne śmieci. A u nas każdą taką reklamówkę można od ręki sprzedać na Łazarzu za dobrą cenę. Nic dziwnego, przecież modna i elegancka kobieta wolała pójść do ogonka pod rzeźnikiem z foliową kolorową torbą z napisem „Coca-Cola” niż z obskurną siatką z wiskozy czy jeszcze zwyczajniejszą i już zupełnie prostacką z płótna.

Niekiedy z takiego jednego berlińskiego składu udawało się wyciągnąć kilkanaście reklamówek. Prócz tego

znajdowały się zawsze jakieś drobiazgi, które przeoczyli pierwsi porządkowi. Grzebienie, dezodoranty, napoczęte paczki podpasek, mydelka, a nawet ręczniki w łazienkach czy w końcu zachodnie gazety. Od sprzątaczek kupowali je na pniu jacyś dziwni faceci, którzy przychodzili co kilka dni po świeżą dostawę. Kobiety mówiły między sobą, że to jacyś ludzie, którzy podobno znają niemiecki i pracują na uniwersytecie. Tylko nikt nie wiedział, po co im takie niemieckie gazety. Ale jak płacą, to co się pytać. Niech czytają na zdrowie, mówiła Wróblowa i kasowała jak za świeży „Express Poznański”.

Przy pierwszym wagonie berlińskiego składu kobiety z miotłami w rękach zatrzymały się.

– Pani Krzysztofiakowa, pani weźnie dziś pierwszy, ty Beatka drugi, Mariolka trzeci, a ja czwarty. Mamy akuratnie osiem, to po dwa na twarz wypadnie.

Brygadzistka Wróblowa wyciągnęła z kieszeni fartucha klucz kolejarski, otworzyła pierwszy wagon i ruszyła dalej. Za nią podążyły dwie młode sprzątaczk. Najstarsza z grupy, emerytka Krzysztofiakowa, mimo znacznej tuszy wdrapała się na schody z łatwością, o jaką trudno byłoby ją na pierwszy rzut oka posądzać. Szybko weszła na korytarz i przedział po przedziale zaczęła rutynowy przegląd. Najpierw szukała rzeczy leżących na wierzchu i na podłodze pod siedzeniami. W drugim przedziale znalazła na przyokiennym stoliczku gazetę, ale zaraz wyrzuciła ją do worka na śmieci, bo okazało się, że to enerdowskie „Neues Deutschland”, a za to paskudztwo nikt nie dałby złamanego grosza. Krzysztofiakowa po latach praktyki potrafiła bezbłędnie odróżnić prawdziwe wartościowe gazety od nic niewartych szmat z NRD. Na szczęście w innych przedziałach znalazła kilka zachodnioberlińskich dzienni-

ków i nawet jednego „Playboya”, który wpadł pod kanapę i pewnie dlatego nie zauważyli go kolejarze. Zadowolona wepchnęła gazety do siatki, którą zawsze nosiła w kieszeni roboczego fartucha, i poszła w stronę ubikacji, by zacząć bardziej gruntowny przegląd.

Chwyciła klamkę i chciała otworzyć drzwi, ale te nie ustąpiły.

- Łe, co jest, psiakrew – zakłęła pod nosem.

Naparla na nie jeszcze raz ramieniem, ale nieco silniej – znowu nic. Niezrażona niepowodzeniem wydobyła z kieszeni fartucha taki sam klucz kolejarski jak ten, którym wagon otworzyła jej brygadzistka. Przekręciła trójkątny zamek i pchnęła pewna sukcesu. Drzwi ustąpiły trochę, jednak nie udało się ich otworzyć całkowicie. Coś tarasowało je od środka.

- Nachlany jakiś pener tam się został leżeć, czy jak? – powiedziała niby do siebie, ale jednak na tyle głośno, by pijany, jeśli tam rzeczywiście był, mógł wszystko usłyszeć. Nikt nie odpowiedział, więc spróbowała jeszcze raz:

- Łe jery, ady łachudro jedna, wstawej mi tu, ino mi-giem, bo jak nie, to ścierą przez ryfę dam jak nic. Ruszże się, pijanico jedna.

Znowu odpowiedziała jej cisza. Tego już było za wiele. Wsadziła kij od szczotki w szparę w drzwiach i pchnęła z całej siły. Poczula, że drzwi powoli przesuwają się do środka. W szparę zaraz włożyła nogę i jeszcze raz pchnęła z całej siły. Wejście do ubikacji rozwarło się na tyle, że mogła spróbować zacząć wciskać się do małego pomieszczenia. Wysunęła nogę, a potem spojrzała w dół. I zrobiło jej się niedobrze. Jakoś nigdy nie lubiła widoku krwi. Nawet najzwyklejsza drobna rana potrafiła ją przyprawić o zawrót głowy. Tymczasem tu krwi było tak dużo, że

Krzysztofiakowa mało nie upadła. Podłoga w łazience wyglądała, jakby ktoś wylał tam wiadro czerwonej olejnicy podczas malowania pierwszomajowych haseł. Co gorsza, krew przylepiła się też do podeszwy jej buta i gdy cofnęła nogę z obrzydzeniem, zostawiła na podłodze czerwoną smugę.

Kobieta chwyciła się framugi drzwi, by nie upaść na powalaną podłogę. I wtedy za drzwiami przesunęło się coś ciężkiego, potem w szparze pojawiła się bezwładna ręka, a właściwie tylko jej część. Tam, gdzie powinna znajdować się dłoń, była tylko jakaś postrzępiona krwawa masa.

Sprzątaczką Krzysztofiakowa poczuła, że nie może złapać oddechu, ale tylko przez ułamek sekundy. Bo po chwili nie czuła już nic. Upadła z łoskotem na podłogę.

Godzina 14.30

Porucznik Leon Kudelski z komisariatu kolejowego na Dworcu Głównym w Poznaniu poczuł nieprzyjemne suche drapanie w gardle. Już od rana coś go drapało, ale myślał, że to przez ten cholerny Dzień Kobiet. Dzisiaj wszyscy od rana pili zdrowie pań, a on nie wtoczył w siebie ani grama. Nie licząc oczywiście tego jednego lecha, którego wypił, jak tylko przyszedł na posterunek. Jednak nawet przy takim święcie nie ruszał niczego mocniejszego. Porucznik Kudelski był człowiekiem zasad i uważał, że w pracy nie powinno się pić, a tym bardziej w tak odpowiedzialnej pracy jak ta jego. W końcu to na jego głowie był cały dworzec ze wszystkimi peronami i przejściami podziemnymi, do tego pociągi wjeżdżające na stacje i wyjeżdżające stąd. Słowem: bezpieczeństwo tysięcy ludzi zależało od tego,

czy będzie w stanie odpowiednio zareagować w razie sytuacji kryzysowej. A co jak co, ale zareagować potrafił. Nie dalej jak wczoraj tak wlał jednemu wywijasowi, że musiało go stąd zabierać pogotowie.

Bo ten pener jest sam sobie winny, mówił podwładnym porucznik. Jakby nie zarzygał nam biurka, tobym mu ino raz przylał w tytę i koniec. Ale jak on tak z nami, z milicją obywatelską postąpił, to przecież nie można beczynnie patrzeć, jak taka ofyfla obraża mundur.

No i wlał mu za to pałą kilka razy, choć z umiarem. Tak, by zapamiętał, ale bez większej krzywdy. A ten umiar to właśnie przez niepicie, myślał z dumą milicjant. Bo jakbym chlał na służbie, to kto wie, czy z nerw bym nie wyszedł zanadto. A tak łachudra dostał, co mu się uczciwie należało, po bożemu.

Porucznik Kudelski wyrzucił papierosa, zdeptał go na chodniku, obciągnął mundur i ruszył w stronę wejścia do hali Dworca Zachodniego. Patrzył, jak tłum wchodzących i wychodzących ludzi rozsuwa się przed nim z szacunkiem dla uniformu. Po lewej stronie, za kioskiem z książkami, stał rząd kas automatycznych, w których bez kolejki można było kupić bilety do stu kilometrów. Spojrzał w tamtym kierunku, bo przy tych maszynach zawsze kręciły się jakieś dzieciaki, próbujące naciągnąć podróżnych na drobny grosz. Ale tym razem nie było ani jednego. Kudelski uśmiechnął się pod czarnym sumiastym wąsem. Pomyślał, że musiała się rozejść wśród nich błyskawicznie wieść, że on, szef komisariatu, pali ćmika przed dworcem, i szczone wołały nie ryzykować spotkania.

Dla porządku przeszedł jeszcze wzdłuż automatów, popatrzył gospodarskim okiem na urządzenia i na kupujących bilety, a potem ruszył w stronę tunelu prowadzącego

z Dworca Zachodniego do Głównego. Porucznik lubił sam chodzić na patrole. Co prawda miał od tego kilkunastu chłopaków, ale uważał, że on też powinien dawać przykład i dlatego kilka razy dziennie obchodził cały swój rejon. Poza tym był przekonany, że nie ma niczego lepszego dla poprawienia dyscypliny jak osobisty chwalebny wzór. Przed witryną kiosku z książkami zatrzymał się na chwilę. Spojrzał na szybę wystawową. Z daleka wyglądał tak, jakby szukał w wyłożonych na ladzie tomach czegoś dla siebie. Ale książki nie interesowały go wcale. Jakiś czas temu odkrył, że w ten sposób można, nie budząc niczyich podejrzeń, obserwować to, co się dzieje w dworcowych drzwiach. W szybach kiosku wszystko odbijało się jak w lustrze. To było niezwykle sprytnie posunięcie. Niby patrzył na książki, a w rzeczywistości obserwował wejście, odwrócony do niego plecami. Nie był to do końca jego pomysł. On go tylko wprowadził w życie, ściągając z filmu *Akcja pod Arsenalem*. Tam jeden taki, żołnierz ruchu oporu w cywilu, patrzył na wystawę sklepową i widział, jak nadjeżdża z głębi ulicy furgonetka z więźniem. No i porucznik zaraz na drugi dzień po tym, jak ten film zobaczył w kinie Bałtyk, postanowił spróbować. Wybrał księgarnię dworcową na Zachodnim, bo była prawie na linii wejścia. I okazało się, że to rzeczywiście świetny punkt obserwacyjny. Wszystkim mogło się wydawać, że milicjant z zainteresowaniem patrzy na książki, a on patrzy sobie na wszystko, tylko nie na literaturę. Książki go nudziły, bo uważał, że prawdziwe życie jest na peronach. Znał nawet jednego literata, który siedział u niego w areszcie dworcowym, po tym jak przymknęto go za pijacką awanturę w barze Warsu na głównym dworcu.

- Ten literat, co pisał książki - opowiadał Kudelski swojemu koledze z Komendy Miejskiej - to pisał o jakichś tam sprawach z historii. Ale o tym, jak robił gnój w bufecie i jak gośmy zamknęli na komisariacie, to pisać nie chciał. Jak mu to zaproponowałem, to ten pisarz mi powiedział, że ten syf codzienny to każdy sobie może obejrzeć na własne oczy, a ludzie potrzebują czegoś wzniosłego. A co wzniosłego jest w gorzole i rzyganiu...

I dlatego porucznik nie lubił czytać, no chyba że gazety, a w nich też nie wszystko. Pierwsze strony były bardzo nudne, środkowe mniej, ale też nudne, a najciekawsze były te ostatnie, czyli sport i nekrologi. Sport lubił, bo był kibicem Lecha i interesowało go to, co dzieje się w lidze, a nekrologi, bo zawsze można tam było znaleźć kogoś znajomego.

- Mam *O jeden most za daleko* - powiedziała sprzedawczyni pani Wandzia, uśmiechając się porozumiewawczo do milicjanta. - Tylko dla lepszych klientów, spod lady, bo to o wojnie jest na Zachodzie. O spadochroniarzach - dodała dla wyjaśnienia.

- Pani, ja tam na pierdoły nie mam czasu, a wojna prawdziwa to tu jest w hali i na torach - machnął ręką i chciał odejść, lecz nagle w szybie księgarskiego kiosku zauważył, że na dworzec wkroczył sokista Majchrzak. Stał w przejściu i zaczął się nerwowo rozglądać. Wreszcie dojrzał Kudelskiego i ruszył biegiem w jego kierunku.

- Co jest, panie Majchrzak, tak pan leci, że zaraz panu czapka zleci - zaśmiał się milicjant.

- A co mam nie lecieć, panie poruczniku, jak, kurwa, mamy trupa w wagonie berlińskim - wyrzucił z siebie zdenerwowany sokista. Mówił tak głośno, że pani Wandzia przysunęła się bliżej okienka, mając nadzieję na

jakaś sensację, którą zaraz będzie mogła sprzedać dziewczynom z kas.

- Jak w berlińskim? Przecież berliński jedzie dopiero o dziewiętnastej pięćdziesiąt dwie – zdziwił się Kudelski.

- Ja pierdziele, panie poruczniku, w tym na bocznicy, co stoi od rana! Facet leży bez życia.

- Zachlął się na śmierć z okazji Dnia Kobiet? To trzeba by pogotowie wezwać, żeby go zbadali.

- Zachlany jak nic, tak jak ten w zeszłym roku, co to na półce bagażowej w przedziale został leżeć i dopiero jak pociąg wracał w drugą stronę do Rajchu, celnicy go obudzili i prosto do izby wytrzeźwień... – wtrąciła szybko sprzedawczyni, ale zaraz umilkła, bo Kudelski machnął ręką, spojrzął na nią groźnie, zmarszczywszy brwi, po czym odwrócił się do Majchrzaka, zasłaniając tyłkiem okienko kiosku.

- Może się i zachlął. Tylko że gorzołę to musiałby mu wlać ktoś do ryja, bo on sam nie mógł – powiedział sokista.

- U nas każdy może – nie dawała za wygraną sprzedawczyni.

- Co prawda, to prawda. U nas każdy może – poparł ją znający życie oficer.

- No, tylko potrzebne są jeszcze do tego łapy, żeby flaszkę unieść, a ten tam łap ni ma.

- Jak nie ma? – nie rozumiał dalej porucznik.

- Bo mu, kurwa, jakiś kutas je urąbał!

- O Jezus Maria, może mu pociąg po nich przejechał, tak jak temu facetowi na Wildzie, co to zasnął na torowisku tramwajowym i tramwaj mu przez te giry przejechał, że tyn ani nie wiedziół, co się stało, i dopiero na drugi dzień jak wytrzeźwiół... – wyrzuciła z siebie z prędkością

karabinu maszynowego pani Wandzia, ale nie dokończyła, bo milicjant spojrział na nią tak groźnie, że natychmiast schowała głowę do kiosku.

- Cicho, do cholery - warknął porucznik Leon Kudelski, który wiele już w życiu widział, ale żeby jakiś trup z odrąbanymi rękami na jego dworcu się poniewierał, tego jeszcze nie było. Zdenerwowany nie na żarty, wiele się już nie zastanawiając, ruszył biegiem do tunelu przechodzącego pod dworcowymi peronami. Błyskawicznie przebiegł na czwarty i wy dostał się schodami na zewnątrz. Majchrzak biegł tuż za nim. Na peronie zrównali się.

- Tam koło płotu ZNTK jest berliński - wyjaśnił sokista, wskazując ręką kierunek.

Musieli poczekać trochę, aż na peron wtoczy się pociąg z Warszawy, który odciął im drogę. Pomimo napierających na drzwi wsiadających i wysiadających wepchnęli się na siłę do najbliższego wagonu, przecisnęli przez zatłoczony korytarzyk i wyskoczyli z drugiej strony pociągu. Potem przez tory na przelaj dostali się na bocznicę. Berliński skład łatwo było rozpoznać z daleka, bo wyróżniał się już na pierwszy rzut oka spośród wagonów stojących na torach. Te kursujące na liniach krajowych były brudne i odrapane. Zagraniczny wyglądał, jakby przed chwilą wyjechał z wrocławskiego Pafawagu.

Przy ostatnim wagonie stała grupka kilku kobiet i mężczyzn. Były to sprzątaczk i pracownicy kolejowi w roboczych strojach. Widać wieść o niecodziennym znalezisku musiała obiec dworzec lotem błyskawicy. Stojący przed wagonem na widok milicjanta i sokisty odeszli od drzwi, a nadbiegających przywitała brygadzistka sprzątaczek.

- Tam leży ten gość, w kiblu. - Wskazała na otwarte drzwi wagonu. - Zaszlachtowany jak wieprzek.

- Nieżywy – dodała druga sprzątaczką.
- Ręce mu ucieli – wyjaśniła trzecia.
- Nie dwie, ino jedną – dodała kolejna tonem najlepiej poinformowanej na świecie agencji TASS.

- Ciekawe, kto to teraz będzie sprzątać, bo ja się krwi nie dotknę za nic w świecie – zainteresowała się Krzysztofciakowa, która znalazła nieboszczyka i teraz już zdążyła dojść do siebie.

Porucznik Kudelski ledwo spojrział na kobiety. Złapał się poręczy i wskoczył na stopnie. Pierwsze, co zauważył, to cała masa krwawych śladów na podłodze.

- Kurwa, wycieczka z Szamotuł tu przyszła na oglądanie? – rzucił za siebie. Przez chwilę się zawahał, czy iść do tej ubikacji, ale pomyślał, że nie ma innego wyjścia, bo na podstawie relacji bab nie będzie wzywał śledczych. Pchnął drzwi i znowu poczuł nieprzyjemne suche drapanie w gardle. Ale tym razem wcale nie chciało mu się pić. Teraz poczuł, że robi mu się niedobrze. Bo facet obwiązany jak baleron plastikowym sznurem do bielizny, z pętlą zaciśniętą na szyi i z obciętą ręką, to był jego dobry znajomy.

Godzina 15.10

Major Alfred Marcinkowski, zastępca szefa wydziału kryminalnego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Poznaniu, nazywanego przez większość milicjantów zwyczajnie Komendą Wojewódzką, pakował swoje papiery do czarnej skórzanej torby. Szykował się do wyjścia. Spieszył się, bo to w końcu dzisiaj Dzień Kobiet, a on nie zdążył jeszcze kupić kwiatka dla żony. Na szczęście prezent już miał:

w bufecie sprzedawczynie odłożyła dla niego prawdziwą bombonierkę z Goplany. Zanim upchał ją w swojej teczce, sprawdził jeszcze na wszelki wypadek, tak dla pewności, czy aby na pewno nie jest to wyrób czekoladopodobny. Na szczęście wszystko się zgadzało. Z pudełka patrzyły na niego cztery małe, pręgowane koty siedzące w koszyku. Na etykiecie napisano wyraźnie: „Bombonierka czekoladowa, skład: mleko, ziarno kakaowca, cukier, wyprodukowano Zakłady Przemysłu Cukierniczego Goplana”. Taka bombonierka to było coś. Niezbyt często można było ją dostać. W mieście prawie nie do zdobycia. Ale w milicyjnym bufecie od czasu do czasu się zdarzały, tyle że trzeba było mieć dobre układy z panią Halinką, która nie każdemu odłożyłaby pod ładę taki rarytas. On akurat w bufecie układy miał całkiem niezłe. I wcale nie zawdzięczał ich swojemu osobistemu urokowi. Jeszcze rok temu pani Halinka traktowała go jak każdego innego funkcjonariusza. Wszystko się zmieniło gdzieś tak w czerwcu zeszłego roku, kiedy po komendzie rozeszła się wieść, że Marcinkowski i jego zespół dopadli tego „Upiora znad Warty”, co to obciął głowy dwóm kobietom. To właśnie wtedy dostał błyskawiczny awans i został chyba najmłodszym wiekiem majorem w komendzie wojewódzkiej. Odtąd jego przełożeni wróżyli mu błyskotliwą karierę, a pięćdziesięcioletnia bufetowa patrzyła na niego jak nastolatka na Grzegorza Ciechowskiego, z szacunkiem i uwielbieniem.

Materialnym efektem tego podziwu były spożywcze rarytasy odkładane specjalnie dla majora. Wczoraj zadzwoniła z bufetu i poprosiła go, by zszedł na dół, ma coś specjalnego. No i święta prawda. Ucieszył się z tej bombonierki, bo jego dwudziestopięcioletnia żona Grażyna bardzo lubiła czekoladę, o którą było w mieście niezwykle trudno.

Zupełnie przypadkowo na pierwszą randkę, na którą umówili się w Miodosytni u Rajców na Starym Rynku, przyniósł zamiast bukietu kwiatów tabliczkę czekolady mlecznej z 22 Lipca, dawniej E.Wedel. I tym chyba ją rozbroił zupełnie. Najpierw zrobił na niej wrażenie, kiedy w szkole, w której uczyła historii, odgrywał rolę kapitana Żbika i opowiadał dzieciom o tym, jak się łapie przestępców. Potem zaskoczył samego siebie, bo wyłowiwszy ją wzrokiem z tłumu nauczycielek po prelekcji, przełamując wrodzoną nieśmiałość do kobiet, podszedł do niej i zapytał, czy nie poszłaby z nim na kawę. Gdy spojrzała na niego, ta drobniutka dziewczyna o zielonych oczach, mało nie ugięły się pod nim nogi, ale w końcu był twardym milicjantem i musiał dać sobie radę. Chciał jeszcze dodać coś żartobliwego, ale nic nie przychodziło mu do głowy, a ona stała tak przed tym nieporadnym dryblasem i uśmiechała się, zdając sobie doskonale sprawę z jego zakłopotania. W końcu powiedziała, że kawy nie lubi, ale chętnie wypije kieliszek wina. Nie minęło pół roku, a byli już małżeństwem. Szybko sprzedali jego kawalerkę w starym budownictwie i jej M3 na Wildzie. Wsparła ich też matka Freda, która poświęciła na cel mieszkaniowy młodych kilka złotych carskich pięciorublówek, jakie przechowywała w domu od lat na czarną godzinę. Widząc niewyraźną minę syna, stwierdziła, że ta czarna godzina pewnie jeszcze długo nie nadejdzie, bo najczarniejsza już była trzynastego grudnia i teraz może już być tylko lepiej, więc gotowa jest z czystym sumieniem przekazać mu rodzinny skarb. Gotówkę i złoto wymienili po bardzo korzystnym kursie na dolary u cinkciarza, kumpla Brodziaka, i za walutę kupili zupełnie nowe, piękne trzypokojowe mieszkanie w bloku na Ratajach.

Marcinkowski był sam w pokoju. Od kilku miesięcy, to jest od chwili, w której otrzymał nominację na stopień majora, mógł cieszyć się własnym gabinetem. Co prawda nie był to jakiś wielki pokój, ale jednak miał w nim własne biurko, własną szafę na papiery i własne radio amator stereo. Z tego radia cieszył się najbardziej. W poprzednim pokoju, który zajmował razem z porucznikiem Brodziakiem i chorążym Olkiewiczem, też stało radio. Jednak był to stary monofoniczny taraban, na którym od jakiegoś czasu nie mogli złapać UKF-u. Dlatego pracujący w tym pokoju skazani byli na pierwszy program Polskiego Radia. A tu proszę bardzo, nie dość że własny pokój, to jeszcze amator z dwoma głośnikami ustawionymi na ostatniej półce szafy na papiery. Można było do woli kręcić obrotową gałką i zmieniać programy. Tak naprawdę Marcinkowski słuchał tylko Trójki, od czasu do czasu przerzucając się na czwarty z muzyką klasyczną. Wybór programu zależał od tego, czym był właśnie zajęty. Jeśli chciał się nad czymś skupić, wtedy włączał Czwórkę. Klasyka sprawia, mawiał, że myśli łatwiej uporządkować i pogrupować w efektywny sposób. Natomiast Trójka była włączona właściwie na okrągło dla muzyki, którą major cenił najwyżej, czyli dobrego rocka. Ostatnio rockowym odkryciem tego programu był zespół Marillion. Na początku myślał nawet, że to jakaś nowa odsłona starego Genesis, ale redaktor Kaczkowski szybko wyprowadził go z błędu podczas sobotniej popołudniowej audycji Zapraszamy do Trójki. Marcinowski stał się prawdziwym miłośnikiem Marillion, a obie ich płyty, nagrane z radia magnetofonem stereofonicznym finezja, puszczał w domu niemal codziennie. Od pewnego czasu robił to jednak niemal bezgłośnie. Żona zarządziła w domu muzyczną ciszę, odkąd przybył im jeszcze jeden

mieszkaniec, i trzeba się było z tym pogodzić. No cóż, Filip Marcinkowski miał w jego mieszkaniu zdecydowanie większe prawa niż on sam. Ale Fred nie potrafił żyć bez muzyki, dlatego kupił do słuchania w domu słuchawki. Nie była to taka prosta sprawa, znalezienie ich w sklepie graniczyło niemal z cudem. Ale tu jak zwykle nieoceniony okazał się jego przyjaciel porucznik Brodziak. Ten facet potrafił załatwić dosłownie wszystko. Toteż gdy Marcinkowski podjął decyzję o zakupie deficytowego sprzętu, poszedł do Brodziaka.

Porucznik Brodziak był zupełnym przeciwieństwem Marcinkowskiego. Może właśnie dlatego tak świetnie się uzupełniali. Fred był wysokim, dobrze zbudowanym blondynem z równo przyciętym jasnym wąsem. Ubierał się do biura w ciemny garnitur, zawsze ze starannie zawiązanym krawatem. Mówiono o nim, że jest w swojej pracy bardzo dokładny i skrupulatny, a każdą rzecz woli sprawdzić pięćdziesiąt razy, zanim podejmie jakąś decyzję. Z charakteru typowy porządny i sumienny poznański urzędnik.

Brodziak natomiast, piegowaty szczupły rudzielec niższy od swojego szefa o jakieś dziesięć centymetrów, był typem ulicznego wywijasa ze Starego Miasta. Tam się zresztą wychował, a jego poczynania z dzieciństwa i młodości wcale nie wróżyły mu kariery w milicji. Ubierał się jak cinkciarz w peweksowskie dżinsy i kurtki, codziennie używał peweksowskiego dezodorantu Old Spice. Mógł sobie pozwolić na te luksusy, bo powszechnie było wiadomo, że większość staromiejskich handlarzy walutą to dawni koledzy Brodziaka. Dla niego kupno paru dolców na dobry ciuch czy kosmetyki nie stanowiło więc żadnego problemu. Wychowany na ulicy, uliczne zwyczaje

wprowadzał do milicji. Pochodzący z tak zwanej dobrej rodziny, Marcinkowski urodził się i wychował na Sołaczu, czyli w ekskluzywnej willowej dzielnicy z przedwojennymi tradycjami. Zatrzymanych bandziorów podczas przesłuchania traktował często z nadmierną kurtuazją, gdy Brodziak rozmawiał z nimi ich językiem, a dla wsparcia argumentów czasami używał pięści, co dla Freda było nie do pomyślenia. Obaj stanowili więc niemal modelową parę złego i dobrego gliniarza i doskonale zdając sobie sprawę z tego atutu, stosowali go w praktyce nader często.

Major Marcinkowski zamknął teczkę i podszedł do radia, by je wyłączyć. Już chciał wcisnąć klawisz, gdy z głośnika popłynęły pierwsze dźwięki *Autobiografii* Perfectu. Bardzo lubił tę piosenkę, więc przez chwilę nie mógł się zdecydować – dosłuchać do końca czy też wyłączyć odbiornik. To był jego błąd.

Gdy Markowski śpiewał, że oto wyśnił się jego wielki sen, drzwi do pokoju otworzyły się z rozmachem bez uprzedzającego pukania. Fred spojrział niechętnie w ich kierunku, bo doskonale wiedział, kto może wchodzić w ten sposób. Brodziak zawsze wlaźł tak samo, grzeczne napominanie nie przynosiło efektu. A teraz Marcinkowski nie życzył sobie żadnych wizyt, tym bardziej dobrego kumpla, bo spieszył się do domu.

I rzeczywiście w drzwiach do jego biura stał oparty o framugę porucznik Brodziak, a tuż przy nim niższy o głowę chorąży Olkiewicz z radosnym uśmiechem na okrągłej gębie.

Zadowolony z siebie Teofil podrapał się po łysym czubku głowy. Widząc skwaszoną minę swojego szefa, pośpiesznie wyjaśnił:

- Obywatelu majorze, melduję, że dzisiaj jest Międzynarodowy Dzień Kobiet.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale wszedł mu w słowo porucznik:

- Fred, kurde, szukamy cię cały czas, dzisiaj musisz wypić jak nic.

Major zamknął teczkę na dwa blaszane zatrzaski, postawił ją na podłodze, a potem usiadł na swoim fotelu zrezygnowany.

- No dobra, chłopaki, po małym i spadam do chaty - zdecydował szef, który od miesiąca, to jest od chwili przyścia na świat Filipa, nie wypił ani grama alkoholu. No, ale przecież dziś nie wypadało odmówić.

Godzina 15.20

Obywatelu pułkowniku, dzwonią z DOKP - powiedziała sekretarka, stając w drzwiach do gabinetu szefa wydziału kryminalnego. Pułkownik Eugeniusz Żyto spojrzał na kobietę i uśmiechnął się szeroko. Dziś przecież trzeba było być miłym dla wszystkich pań, a szczególnie dla tych, z którymi ma się codzienny kontakt. Zresztą pułkownik zawsze starał się być miły dla kobiet, chyba że akurat był czymś zajęty albo bardzo zmęczony. Wtedy nie zauważał nikogo. Często był zapracowany, toteż niezbyt dobrze znającym go ludziom wydawał się typem mrukliwym i zarozumiałym. A tu nic z tych rzeczy - Żyto był człowiekiem miłym i spokojnym, ale jak sam mówił, ta cholerna robota wchodziła mu na głowę i przyciskała do podłogi. Chciałby nawet częściej się uśmiechać, ale czy w końcu miał do tego jakieś powody? Wszyscy wokół ciągle coś od

niego chcieli i dlatego musiał stale robić to, czego najbardziej nie lubił – podejmować decyzje. A w jego wypadku z racji funkcji, jaką pełnił, były to decyzje brzemiennie w skutki.

Najgorsze było jednak to, że w tej robocie musiał nieustannie lawirować. Komendant wojewódzki i jego kontrolerzy z Komitetu Wojewódzkiego PZPR bez końca wtrącali się w robotę kryminalnych, co polegało na żądaniu natychmiastowych wyników przy najtrudniejszych sprawach. Jeśli w Poznaniu czy w województwie dochodziło do jakiegoś morderstwa, sekretarz wojewódzki dostawał o tym informację na swoje biurko jeszcze tego samego dnia. Czasami sprawa go nie obchodziła i wtedy wydział pułkownika miał względny spokój. Ale zdarzały się sytuacje, że przypominał sobie o tym po jakimś tygodniu, wówczas wzywał do siebie szefa kryminalnego i oczekiwał natychmiastowego przedstawienia wyników śledztwa. Nie można było stanąć przed Pierwszym i powiedzieć, że nic w sprawie nie udało się zrobić, bo ten cały Pierwszy też miał kogoś nad sobą w centrali w Warszawie i ten ważniejszy mógł go również spytać o wynik. Dlatego sekretarzowi trzeba było przedstawić obszerny raport. Żyto wypracował cały system, który w każdej, najtrudniejszej nawet sytuacji dawał partyjnym władzom pełną satysfakcję. Morderstwo, o ile oczywiście nie była to sprawa związana z jakąś rodzinną awanturą czy pijacką bójką, gdzie od razu było wiadomo, kto zabił, zatem morderstwo, które wymagało szczególnego śledztwa, natychmiast powodowało rozpoczęcie rutynowych działań, o których pułkownik Żyto mówił „zasłona dymna”.

Było to niezwykle proste działanie, przez jego ludzi opanowane do perfekcji. Zaraz po otrzymaniu informacji

milicjanci zatrzymywali kilka pospiesznie wytypowanych osób z tak zwanego kręgu podejrzanych. Dzięki temu Żyto w kilka godzin po ujawnieniu jakiegoś morderstwa dysponował raportem mówiącym, że ludzie, którzy mogą mieć coś wspólnego ze sprawą, już siedzą. I wszystko było w porządku, bo w razie zainteresowania władz partyjnych od razu można było przedstawić optymistyczny wynik w postaci kilku kreatur z półświatka zamkniętych w areszcie. Takie działanie dawało też czas prowadzącym śledztwo. Mogli nieniepokojeni przez nikogo zajmować się sprawą, w razie przedłużającego się poszukiwania sprawcy jednego z zatrzymanych typowano na głównego podejrzanego. W grupie zatrzymanych zawsze był ktoś o mocno zaszarganej hipotece, więc uzyskanie od prokuratora trzymiesięcznej sankcji bez wyraźnych dowodów nie stanowiło problemu.

A zatem na pytanie z góry, jak tam posuwa się śledztwo, pułkownik Żyto miał zawsze gotową odpowiedź: podejrzany w areszcie, ale na razie nie przyznaje się do winy. Dzięki tej zasłonie dymnej wszyscy byli zadowoleni. Aparat partyjny mógł raportować do Warszawy, że milicja już w parę godzin od zdarzenia ma podejrzanych, zaś po kilku dniach jednego podejrzanego, który jest najprawdopodobniej sprawcą.

System sprawdzał się od dawna, choć nie uzgadniano nigdy szczegółów. Ludzie Żyty starali się szybko dostarczyć mu wiarygodnych pierwszych wyników śledztwa, a on udawał, że im wierzy. Zasłona działała więc bez zarzutu.

- Z DOKP? - zdziwił się pułkownik. - A co oni tam chcą od nas w Dzień Kobiet?

- To dzwoni sekretarz partii z dyrekcji - poinformowała pani Wiesia, jego nowa sekretarka, która mimo młodego wieku i krótkiego stażu szybko wciągnęła się w tajniki pracy biurowej. Doskonale wiedziała na przykład, że w świąteczny dzień nie ma co zawracać szefowi głowy pierdołami. Była jak berliński mur - nie do przebycia. Ale telefon od sekretarza PZPR w Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych to nie była jakaś tam pierdoła i trzeba było o nim zameldować natychmiast.

- No dobra, pani Wiesiu, niech pani łączy towarzysza Łopuszaka. Zobaczmy, co mu leży na wątrobie.

Czarny ebonitowy aparat na biurku pułkownika zadzwonił. Żyto podniósł słuchawkę.

- Witam towarzysza sekretarza - zaczął milicjant wesoło. - Co tam nowego na kolei?

Przez chwilę słuchał, a z każdą sekundą jego twarz robiła się coraz bardziej poważna:

- Rozumiem, towarzyszu sekretarzu, tak jest, zaraz coś z tym zrobimy. Tak, daję do tego najlepszych ludzi. Natychmiast.

Pułkownik odłożył słuchawkę, usiadł ciężko w swoim fotelu i zaraz pochylił się nad szarym pudełkiem biurowego interkomu:

- Pani Wiesiu, majora Marcinkowskiego do mnie niech pani zawoła. Mam nadzieję, że jeszcze jest w firmie.

Major jeszcze był. Na szczęście dla pułkownika Marcinkowski lubił piosenki Perfectu.

Spis rzeczy

Prolog	5
Rozdział I	11
Rozdział II	52
Rozdział III	91
Rozdział IV	134
Rozdział V	169
Rozdział VI	202
Rozdział VII	241
Rozdział VIII	285
Rozdział IX	325
Rozdział X	366
Słownik	393

Książki oraz bezpłatny katalog Wydawnictwa W.A.B.
można zamówić pod adresem:
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5
oraz pod telefonem 0 801 989 870
handlowy@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Redaktor serii: Filip Modrzejewski
Redakcja: Grzegorz Sowula
Korekta: Małgorzata Denys, Katarzyna Pawłowska
Redakcja techniczna: Izabela Gołaszewska

Konsultacja dotycząca gwary śląskiej – Jerzy Ciurlok
(kabaret Masztalscy)

Projekt okładki i stron tytułowych: Jerzy Tchórzewski
na podstawie koncepcji graficznej Marka Goebła
Grafika na okładce: © Jerzy Tchórzewski
Fotografia autora pochodzi z jego archiwum prywatnego

Wydawnictwo W.A.B.
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne
Piaseczno, Żółkiewskiego 7A
Druk i oprawa: Opolgraf S.A.,
ul. Niedziałkowskiego 8-12, Opole

ISBN 978-83-7414-760-6

Pułkownik skinął przyzwalająco głową, więc Fred zaczął opowiadać. Zajęło mu to zaledwie pięć minut. Najpierw powiedział o morderstwie w pociągu, później o strzelaninie na Strusia i o tym, jak Teofil Olkiewicz dzięki użyciu psa milicyjnego Szarika zatrzymał kolejarza w zakrwawionym płaszczu i z pistoletem w kieszeni. Pochwalił podwładnego za wykazanie się inicjatywą – chodźło oczywiście o psa – a potem zakończył konkluzją, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż morderca z pociągu i zatrzymany kolejarz to jedna i ta sama osoba.

– Na chwilę obecną można postawić taką hipotezę, a jeśli okaże się fałszywa, to wtedy będziemy szukać dalej. Fakty są jednak po naszej stronie – zakończył, patrząc uważnie na pułkownika.

(fragment)

Milicja Obywatelska kontra przemytnicy i handlarze walutą – historia kryminalna w realiach PRL-u...

Dzień Kobiet w 1986 roku dla sprzątaczkii pociągu relacji Berlin–Poznań zaczął się niefortunnie, gdy w wagonie znalazła zwłoki brutalnie zamordowanego mężczyzny. Brawurowa akcja milicji, dowodzona przez chorążego Teofila Olkiewicza, idzie jak z płatką – podejrzanego natychmiast ujęto. „góra” nie będzie się czepiać.

Ale sprawa nie jest prosta, skoro swoje śledztwo prowadzi też Gruby Rychu, szef poznańskich cinkciarzy. Kto pierwszy odkryje prawdę?

Ręčno robota Ryszarda Ćwirleja to powieść realistyczna i pełna humoru. Opisuje peerelowski świat, dziś nie do pomyślenia, w którym wszyscy, i milicjant, i bandyta, musieli radzić sobie z absurdalną rzeczywistością.

patronat medialny



www.recznarobota.interia.pl

